Bezpłatny dodatek do Nr. 217 „Głosu Narodu“.

TYDZIEŃ KULTURALNO-LITERACKI

Nr. 19. Kraków, niedziela, dnia 9-go sierpnia 1936 r.

WŁADYSŁAW POCIECHA.

JESZCZE O KRÓLOWEJ BONIE.

P. Zygmunt Lasocki w „Tygodniu Kulturalno-Literackim“ z dn. 26-go lipca br. nr. 17, w artykule p. t. „Królowa Bona-Boreyko (ostatni zeszyt Polskiego Słownika Biograficznego)“ omówił krytycznie m. in. także mój artykuł o królowej Bonie. Podnosząc zgodnie z mojem przedstawieniem „zasługi Bony“, Szanowny Recenzent przyznał jednak, że ma pewne „zastrzeżenia“ zwłaszcza co do działalności Bony na polu polityki wewnętrznej i zagranicznej i podał je w formie krytycznych uwag. Do tych uwag pozwolę sobie dodać parę wyjaśnień, gdyż oczywiście szczupłe ramy artykułu nie pozwoliły mi na szersze przedstawienie wielu zagadnień, które budzą wątpliwości u Szan. Recenzenta. Zestawiam je kolejno, a mianowicie:

„KOBIECE RZĄDY“.

1. „W kwestjach ówczesnej polityki — pisze p. Lasocki — odegrał tez niezawodnie wcale znaczną rolę małżonek Bony Zygmunt I, który dopiero w zgrzybiałym wieku uległ wpływom swej żony“. Ocena, jaką rolę odegrał Zygmunt I w historji nie należy do artykułu o Bonie; będzie to przedmiotem osobnego artykułu o tym królu. — Nie zgadzam się także z twierdzeniem rozpowszechnionem w dawniejszej literaturze historycznej, jakoby król dopiero w zgrzybiałym wieku uległ w zupełności wpływowi swej żony. Wpływ Bony na męża był równie doniosły w pierwszych latach jej pobytu w Polsce jak i później, a nawet początkowo może silniejszy: wystarczy przytoczyć takie wypadki polityczne, jak układy francusko-polskie (1519, 1521) wybór Zygmunta Augusta na w. księcia (1522) itd. Wcześnie też wywołał odruch magnatów. Już w 1527 roku zwraca się K. Szydłowiecki, kanclerz w. kor. do ks. pruskiego Albrechta w tej sprawie, uzasadniając akcję opozycji tem, „że królowa tak opanowała męża, że bez jej woli nic się nie dzieje“. (Acta Tomiciana, IX.str. 327). I nic dziwnego: młoda, piękna a przytem obdarzona nieprzeciętnym rozumem królowa mogła wywierać większy wpływ na męża, gdy był jeszcze w sile wieku, aniżeli wówczas, gdy był już zgrzybiałym starcem. Toteż ów wpływ Bony w ostatnich latach rządów Zygmunta I ma zupełnie inne oblicze. Zygmunt często zapadał na zdrowiu i wówczas zlecał załatwianie bieżących spraw swej żonie i synowi, co wywołało utyskiwanie na „rządy kobiece“. Nie można jednak zapominać o tem, że właśnie w tym okresie przychodzi częściej do różnicy zdań między królem i królową, że przytoczę tylko takie fakty, jak oddanie wbrew woli Bony Zygm. Augustowi rządów na Litwie w roku 1544, powierzenie pieczęci podkanclerskiej jej największemu antagoniście S. Maciejowskiemu itd.

2. P. Recenzent zwraca uwagę, że „w sprawie stosunków z Turcją wiadomą jest rzeczą, że Zygmunt jeszcze przed zaślubieniem Bony starał się usilnie o uniknięcie starć z potęgą turecką, zaś politykę wpływów na Węgrzech uprawiali Jagiellonowie już od XV w. Bona szła zatem w tym względzie już utartemi torami.“ — Uwaga powyższa byłaby trafna, gdyby nie ostatnie „zastrzeżenie“. Zygmunt unikał wprawdzie starcia z Turcją, ale nie wyrzekał się myśli wzięcia udziału w powszechnej wyprawie przeciwko Turcji. Znany jest udział delegacji polskiej na Soborze Lateraneńskim w pracach komisji zajmującej się przygotowaniem krucjaty (1513 — 1517) i rola, jaką miał w niej odegrać król polski. Zygmunt dlatego też nie chciał zawierać pokoju z Turcją i odnawiał tylko od czasu do czasu krótkotrwałe zawieszenia broni, które i tak nie uchroniły Polski przed najazdami hord turecko-tatarskich. W Polsce liczono się ciągle z „opinją“ w tym względzie wielkich mocarstw i możliwością dojścia do skutku krucjaty, podczas gdy te mocarstwa, posługując się chętnie hasłami krucjaty dla osiągnięcia własnych korzyści, zabiegały potajemnie lub otwarcie o przyjaźń Turcji, która dzięki temu stała się ważnym czynnikiem w polityce europejskiej. Pod wpływem Bony Zygmunt zerwał z tą błędną i szkodliwą dla nas polityką i zawarł ostatecznie trwały pokój z „niewiernymi“. Co do polityki polsko węgierskiej, to szła ona zupełnie odmiennemi drogami w XV wieku, aniżeli w XVI w.

W okresie upadku cesarstwa w XV w. pod słabemi rządami ces. Fryderyka III (Maciej Korwin zajął Wiedeń), Kazimierz Jagiellończyk prowadził politykę wyłącznie dynastyczną celem zaopatrzenia swych potomków, dopuszczając nawet do walki między własnymi synami o sukcesję węgierską. Inaczej było w XVI wieku. Zbudowane przez ces. Maksymiljana I światowe imperjum Habsburgów zagrażało równowadze europejskiej. W obronie własnej Francja podjęła długotrwałą wojnę z Niemcami. — Tymczasem niemniej zagrożona Polska na Kongresie Wiedeńskim w 1515 r. skapitulowała dość łatwo przed Habsburgami i pośrednio zrezygnowała z Węgier na rzecz Habsburgów. Bona nie szła więc utartemi drogami, w sprawie węgierskiej nie prowadziła dynastycznej polityki (nie myślała np. o osadzeniu na tronie węgierskim Zygmunta Augusta, chociaż sami Węgrzy i takie projekty wysuwali) i wbrew piętrzącym się trudnościom, a nawet dosyć silnej opozycji ze strony jej antagonistów, dążyła jedynie do tego, aby Habsburgów do Węgier za żadną cenę nie dopuścić. Wychodziła bowiem ze słusznego założenia, że okrążenie Polski przez tak wielkie mocarstwo może być dla niej niebezpieczne, chociaż oczywiście nie mogła przewidzieć, że kiedyś właśnie z tytułu praw Korony węgierskiej Habsburgowie wezmą udział w rozbiorach Polski. Tak też pojmował jej politykę dwór wiedeński, co wyraził zupełnie jasno Ferdynand I, polecając w tajnej instrukcji z roku 1534 swemu posłowi, by w Krakowie użył wszelkich argumentów, „którymiby mógł umysł J. K. Mości zachęcić do utrzymania nadal i powiększenia wzajemnego i szczerego zaufania z większym niejako zapałem i gorliwością **i odciągnąć od wszelkiej zgoła obawy, którą bądź z powodu wzrastającej potęgi domu austrjackiego**, lub może innych jeszcze afektów może żywić“. — („Quibus Serenitatis Suae animus ad mutuam et sinceram confidentiam maiori quodammodo zelo et studio continuandam et augendam animetur **ac ab omni prorsus metu, quemvel de crescenti domus Austriae potentia**, vel aliis forsan, inter se alere posset, animi passionibus, **abstrahatur**“. Arch. Państw. w Wiedniu. Pol. F. I (1531) f. 69 w).

SPRAWA MAZOWSZA.

3. Uwagi Recenzenta o sprawie mazowieckiej polegają, jak mi się zdaje, na nieporozumieniu. Nigdzie nie twierdziłem, by „istniało na serjo niebezpieczeństwo, że Mazowsze po śmierci książąt stanie się znowu lennem“, chociaż nie można pominąć zupełnie faktu, że zarówno udaremnienie zabiegów ks. pruskiego Albrechta i jego przyjaciół w Polsce o nadanie właśnie Mazowsza w lenno jednemu z członków jego rodziny, jak i surowe ukaranie zbrojnego oporu ks. mazowieckiej Anny i jej męża St. Odrowąża, były w dużym stopniu zasługą Bony. Wyodrębnienie Mazowsza w formie oprawy nie przeszkadzało bynajmniej wcieleniu do Korony i zostało dokonane już po tym fakcie w 1545 r. Miało zaś być tylko zastawem (podobnie jak i inne dobra nabyte dla rodziny królewskiej przez Bonę) gwarantującym Jagiellonom następstwo tronu, to zaś chroniło państwo przed wstrząsami elekcji i niespodziankami w rodzaju przywileju mielnickiego z 1501 r. „o wypowiedzeniu posłuszeństwa“ (de non praestanda oboedientia). Odpowiadało przeto nie tylko „osobistym interesom Bony, a dynastji jagiellońskiej tylko na wypadek utraty korony polskiej“, lecz miało głębszy sens polityczny.

„WIERNOŚĆ MAŁŻEŃSKA“.

4. „W sprawie wierności małżeńskiej Bony — pisze Szan. Recenzent — chcę wierzyć na słowo dr. Pociesze“. Dziękuję za zaufanie. Zapewne, że wartość sądów wydawanych w tak drażliwej sprawie musi być względna, w tym wypadku rozporządzamy sporą ilością wiarygodnych świadectw historycznych. Posłuchajmy, co mówią o tem najwięksi wrogowie Bony. S. Maciejowski w swej „Mowie na pogrzebie Zygmunt I.“ z 1548 r. (Sermo in funere... Sigismundi I. 1548. K. G₁), chociaż nie znalazł nic na pochwałę królowej, musiał przyznać, **że wierność jej i miłość budziła podziw wszystkich.** „Czemże bowiem był on (t. j. Zygmunt) dla Ciebie — pisze — jeśli nie tem, czem jest dusza w ciele twoim. Którą ty — a **będzie po wszystkie wieki pamiętna twoja wierność względem niego i miłość małżeńska** — chętniebyś była oddała, gdybyś przez śmierć własną mogła go powrócić do zdrowia. O które jak się troszczyłaś, widzieliśmy wszyscy. **Widzieliśmy zaś nie bez pewnego wielkiego dla cnoty twojej podziwu**“. (Quid enim ille fuit tibi, nisi quod est anima in corpore tuo? Quam tu — **quae tua cunctis saeculis fuit memoranda fides erga eum et charitas coniugalis** — libenter positura fueras, si morte tua salutem illius representare potuisses. Quae quantae curae tibi fuerit vidimus omnes. **Vidimus autem non sine magna quadam virtutis tuae admiratione**). Inny antagonista Bony St. Orzechowski w swem dziełku „Fidelis subditus“ z 1548 r. nazywa ją „**najczystszą kobietą**“ (castissima foemina“ str. 93). Takich świadectw możnaby przytoczyć wiele — przeciwnych niema ani jednego!

SKARBIEC BONY.

5. Legenda o wywiezieniu przez Bonę olbrzymich skarbów z Polski powstała z tego powodu, że Bona wyjeżdżając, zabrała ze sobą swoje ruchomości w myśl intercyzy ślubnej z 1518 r. Nie możemy się dziwić, że zabrała ze sobą zbiory cennych zabytków, które kolekcjonowała całe życie tembardziej, że miała po temu słuszne prawa. Pieniądze lokowała w Wenecji, na całe lata przed wyjazdem z Polski, tam bowiem utrzymywała stałych agentów, którzy załatwiali jej sprawy handlowe i bankowe. Skarbiec królowej powrócił po jej śmierci do Polski — i tutaj dopiero po śmierci Zyg. Augusta zniknął jak kamfora. Niestety, nie Bona okradła Polskę, wywożąc wielkie skarby, lecz wyręczyli ją w tem sami Polacy.

WŁADYSŁAW HERTZBERG.

Latarnia ducha.

Na tym zamglonym, cichym brzegu
z tęsknoty rwę się oszalały,
już przeminęła młodość moja,
serce zszarpało się w kawały.—

Na tym niewielkim skrawku ziemi
dnie całe siedzę — długie lata,
nic tu nie mąci mi spokoju
i niespodzianek los nie płata.

Wpatrzony w ołowiane niebo
i w roztocz morza trupio-siną
wiem, że mnie ludzie nie wyśledzą
ni gwiazdy, co w bezkresy płyną.—

Wiem, że zostanę tu samotny,
w rytm fal pędzących zasłuchany,
tylko wiatr targa moje włosy
i rzuca na brzeg martwe piany.—

Czasami słyszę gwar i krzyki
i widzę świateł migotania
w przystani, gdzie króluje życie,
które żarłoczna śmierć pochłania.—

Na tym zamglonym usypisku,
co w morskich głębiach się zanurza,
płonie latarnia mego ducha
szkarłatem, — jak mistyczna róża! —

MIECZYSŁAW BABINSKI.

Czy muszę chodzić w góry?

Przed wyjazdem z Krakowa w Tatry, od przyjaciela dr. W. przy pożegnaniu otrzymałem serdeczne upomnienie w słowach, które tworzą napis nad dowcipnym rysunkiem, umieszczonym na ścianie w jadalni schroniska w Roztoce: „Czy musisz chodzić w góry?" Nie dałem mu na to żadnej odpowiedzi. Trzeba bowiem było umotywować pozytywne twierdzenie, a nie miałem pod ręką przekonywujących argumentów. Przyjaciel nie poprzestał na tem upomnieniu. Po kilku dniach, do tych znanych — dzięki Roztoce — w świecie taternickim słów, dołożył mi w liście szerszą admonicję: „Nie pchaj się zbytnio na granie i turniczki, bo tam niekoniecznie jesteś potrzebny, a w niższych rejonach też jest miło, a co ważniejsze — bezpiecznie".

Pytanie: „Czy musisz chodzić w góry?" — tkwiło w mej pamięci i w czasie podróży do Zakopanego i w schronisku w Roztoce podczas wypoczynku w ciągu dwóch pierwszych dni, a nawet zastanawiałem się jeszcze nad niem, gdym już szedł obładowany plecakiem w góry. I nie mogłem na to pytanie sformułować odpowiedzi. Zaczęła się ona krystalizować powoli we mnie dopiero w miarę roztaczających się coraz to piękniejszych widoków z Doliny Czeskiej przy podejściu na Niżne Rysy. Na szczycie uzmysłowiłem sobie już dokładnie ten dziwny, wewnętrzny przymus, który każe mi iść w góry i wspinać się na szczyty.

Nad panoramą całych Tatr nie było ani jednej chmurki. Poprzez wyraziste szczyty i granie wzrok sięgał hen na południe aż do węgierskich wzgórzy, a Babia Góra na północnym zachodzie wyrastała wyniośle silnemi konturami ponad pobliskie jej pasma gór. Był to jeden z nielicznych, najpogodniejszych dni w Tatrach. Patrząc na ten niecodzienny widok, dziękowałem P. Bogu szczerze w myślach za możność podziwiania Jego dzieła. I dziękowałem też Stwórcy, że zezwala mi korzyć się przed Nim w miejscu, które dla wielu ludzi jest niedostępnem.

Przed oczyma przesunęło się mi wspomnienie chorych na gruźlicę, leżących na werandach pensjonatów w Zakopanem i wodzących tęsknem spojrzeniem po tak dalekich dla nich szczytach górskich.

Muszę więc chodzić w góry, bo tam mam najmilszą sposobność odczuwania Boga.

O górach myślę cały rok. Po powrocie z Tatr przez długi czas przeżywam we śnie przebyte już wspinaczki, na jawie sumuję wyniki pobytu na łonie przyrody, wspominam przyjaciół i „towarzyszy linowych", snuję nowe plany i obliczam miesiące i dni, dzielące mnie od urlopu. Z wiosną wypatruję z Krzemionek znane mi bielejące śniegiem szczyty i zdaję sobie dokładnie sprawę, że wszelkie inne projekty odpadną, a ja ruszę, gdy przyjdzie czas, — w góry.

W ciągu roku w mieście gromadzi się we mnie niepotrzebny balast. Owładają mnie stopniowo jakieś złe nawyki, przywary. Opanowuje mnie lenistwo, wsącza się apatja, szarpie duszę zgryźliwość, wyłania się samolubstwo i niekiedy dochodzi podejrzliwość. A wszystko to jest przytłoczone jeszcze w dodatku walką o szary byt. W górach następuje gwałtowna zmiana. Ten zbyteczny duchowy balast ustępuje pod gniotem fizycznego ciężaru, którym jest plecak. Wady nikną, jak śnieg na grani, zmyty ciepłym deszczem, ogrzanym promieniami czerwcowego słońca. Z ubytkiem rozleniwienia i apatji czuję przypływ energji. Wzrasta poczucie samodzielności, ostrożność, rozwaga i zrozumienie umiarkowania. Nerwy odprężają się szybko. Ciało zrzuca ociężałość i staje się zwinnem, wytrzymałem na trudy wycieczek. Kilkakrotne spojrzenie w twarz niebezpieczeństwu podczas trudniejszych wspinaczek nadaje ciału i rozsądkowi spokój. Przyglądam się sobie, jak obcej istocie i konstatuję korzystne zmiany zewnętrzne i wewnętrzne. Jestem opanowany i pewny siebie. Nie krzyczę — (choć uczyniłbym to, jeślibym podjął się trudniejszego przejścia bezpośrednio po przyjeździe w góry) — gdy towarzysz z trudem znajduje oparcie dla nóg zaledwie palcami w prostopadłej ścianie nad przepaścistem urwiskiem i w tej pozycji wysila się, by wbić hak w maleńką rysę. Nie krzyczę, lecz wolnym, spokojnym głosem doradzam mu, gdzieby mógł hak zaczepić najpewniej. Nie jestem zdenerwowany i nie odczuwam strachu. I taksamo powoli, spokojnie podchodzę po pewnym czasie do tego samego dokładnie miejsca i przechodzę je bezpiecznie.

Z każdym pobytem w górach coraz to lepiej poznaję przyrodę, jej osobliwości, dziwy i kaprysy. Zżywam się z nią coraz to serdeczniej. Już nie jest dla mnie ponurą noc nad czarną taflą stawu lub burza z nieustannym porykiem grzmotów. Nie odstręczają mnie od siebie widokiem ostre konie skalne, przewieszki i mokre kominy. Zapach kosówki po deszczu jest mi milszy od wymyślnej woni perfum. Czyż kojąca monotonja górskiego potoku nie jest przyjemniejszą od szarpiącego nerwy, hałaśliwego jazzbandu? Stokroć wolę szum lasu, niż gwar publiczności w kawiarni, zmieszany z oparami dymu, gryzącego oczy. Tutaj nie potrzebuję wrzucać wonnych gałek sosnowych czy modrzewiowych do wanny. Wystarczy, gdy dopadnie mnie na grani lub na szczycie deszcz i gdy w ulewie trzeba schodzić do koleby albo do schroniska. Nie pomogą wtedy nieprzemakalne spodnie i także wiatrówka. Kąpiel dokładna i pierwszorzędna.

W górach więc poznaję potęgę Stwórcy, poznaję siebie i przyrodę. Lecz poznaję też i bliźnich, którzy podobnie jak ja, muszą chodzić w góry. Poznaję ich dokładnie i z łatwością. Zachowują się bowiem bez zakłamania. Sądzą, że ich tu nikt nie zna. Nie mogą zresztą ukryć swych charakterów. Znika tutaj „pan doktor", „pan inżynier", „pan profesor" i wogóle „pan" — pozostaje „człowiek" w obliczu gór. I wtedy najłatwiej można ocenić tego człowieka, dostrzec jego wady i zalety... W górach nie zważa się na słowa, lecz na czyny.

Każdy pobyt w Tatrach przynosi mi nowe wrażenia. Dołączam je do dawnych. Potężniejszą z biegiem lat i krystalizują się stopniowo. Niemi żyję dalej. Odrzucam podświadomie niemiłe. Pozostają tylko jasne, świetlane. Silne i słabe, lecz czyste. Wdzierające się do głębi serca i powierzchowne, lecz niezapomniane.

I dla tych wspomnień też muszę chodzić w góry.

Dr. WOJCIECH BAU.

Chemik, Kraków.

Jedwab naturalny i jedwab sztuczny.

Jedwab naturalny jest stężałą wydzieliną hodowanych gąsienic motyli tkaczy (bombyx mori) i dzikich motyli tkaczy (Antheraea mylitta). Celem krótkiego ich życia, bo zaledwie kilka godzin trwającego, jest rozmnażanie się. Z jajka rozwija się gąsienica, a z tej znowu poczwarka. Dla ochrony bezsilnej i bezbronnej przyszłej poczwarki przeciw zewnętrznym wpływom, owija się gąsienica nitkami jedwabnemi, tworząc niejako domek, który nazywamy kokonem, nim się przemienia w poczwarkę. Kokon jest jedną nitką jedwabną długości od 350—1250 m. długą, wagi ¼g., którą zapomocą ciepłej wody nawija się. Najlepsze kokony wysortowane przerabia się na jedwab „organsine", który służy wyłącznie na osnowę, a cokolwiek słabsze kokony przerabia się na jedwab „trame", który służy na wątek. Niezdatne do nawijania, albo anormalne kokony i odpadki z lepszych kokonów, służą do wyrobu jedwabiu „chappe", „florette" i „bourette". Nazwy te francuskie utrzymały się dotychczas w przemyśle jedwabniczym, gdyż pierwsze fabryki jedwabiu powstały w Lyonie we Francji. Izolowana nitka jedwabna z kokonu jest „surowym jedwabiem grège", która nie jest wcale ową piękną, połyskującą, miękką nitką jedwabną, lecz nitką niepokaźną, twardą, okrągłą podobną do bardzo cienkiej struny. Surowy jedwab zawiera bowiem prócz właściwej nitki jedwabnej jeszcze klej, którym nitka jest otoczona, a którym gąsienica podczas przędzenia kokonu zlepia pojedyńcze nitki. „Organsine" i „trame" służą wyłącznie do tkania materjałów, podczas gdy „chapee" służy wyłącznie do fabrykacji pluszów i aksamitów jedwabnych.

SKŁAD CHEMICZNY PRAWDZIWEGO JEDWABIU.

Włókno jedwabne składa się z właściwego jedwabiu, t. j. z „fibroiny" i z kleju, t. j. „sericiny". Fibroina jest nierozpuszczalna w wodzie; sericina rozpuszcza się w gorącej wodzie mniej lub więcej, a zupełnie rozpuszcza się w ciepłej wodzie mydlanej. Pierwszem zadaniem fabrykacji jest więc oddzielenie tych dwóch substacji od siebie, co jest rzeczą łatwą. Stosunek jedwabiu do kleju jest jak 1:3, t. zn. surowy jedwab składa się z 25—30% kleju jedwabnego i 75—70% włókna jedwabnego. Stosownie do tego, czy oddziela się klej zupełnie, czy częściowo, albo też w minimalnej ilości od nitki jedwabnej otrzymujemy trzy gatunki jedwabiu o różnym charakterze: jeżeli ze surowego jedwabiu ściąga się wszystek klej, to taki jedwab oznaczamy jako „cuite", t. zn. zupełnie wygotowany. Jeżeli się ściąga z niego tyle, że na włóknie zostaje jeszcze 8—12% kleju, to taki jedwab oznaczamy jako „souple" t. zn. miękki a właściwie „już nie twardy". Wreszcie, jeżeli się gotowanie tak reguluje, że z jedwabiu ściąga się tylko 1—4% kleju, to taki jedwab oznacza się jako „ecru", surowy. Surowy jedwab i jedwab „ecru" nie są zatem identyczne, jakkolwiek różnica w ubytku kleju jest nieznaczna.

Ze względu na zawartość „sericiny" t. j. kleju, stopniujemy jedwab następująco: **Surowy jedwab** zawierający 25—30% sericiny, **Ecru jedwab** zawierający 24—26% sericiny, albo 1—4% ubytku sericiny. **Souple jedwab** zawierający 17—18% sericiny, albo 8—10% ubytku sericiny. **Cuite,** czysty jedwab zawierający 0% sericiny, albo 25—30% ubytku sericiny.

OBCIĄŻENIE JEDWABIU.

Wraz ubytkiem sereciny jedwab traci na wadze, a ponieważ posiada własność przyjmowania i przytrzymania różnych ciał w wielkiej ilości, dlatego fabrykanci robią z tego wydajny użytek. W początkach fabrykacji jedwabiu obciążano go cukrem, garbnikami, o tyle, o ile stracił na wadze wskutek ubytku kleju jedwabnego, a zatem obciążano go ciałami organicznemi. Z biegiem czasu zaczęto szukać ciał cięższych i stwierdzono, że niektóre sole cyny i żelaza, a zatem nieorganiczne o wysokim ciężarze gatunkowym, obciążają jedwab bez uszczerbku dla jego zewnętrznego wyglądu, kilkaset razy więcej aniżeli wynosił ubytek kleju. W miarę przyjęcia tych soli metalowych przez jedwab, powiększa się także jego objętość, włókno jedwabne pęcznieje, wydaje się na oko pełniejszem, grubszem, mocniejszem. Kupujący waży w ręku towar, a czując, że jest ciężki, sądzi, że kupił towar dobry, solidny i trwały; w rzeczywistości zaś jest to towar mało wartościowy, niesolidny, słaby, gdyż przez inkorporację środków obciążających, przewyższających wielokrotnie właściwą wagę rzeczywistego jedwabiu, nietylko siła włókna jedwabnego mechanicznie zostaje rozluźniona, ale i włókno samo zmienia się chemicznie, przez co słabnie. Obciążanie środkami działającymi energicznie, jak chlorkiem cyny, albo redukująco działającemi solami żelazawemi, niekorzystnie wpływa na siłę i trwałość włókna jedwabnego, dowodem czego jest, że materjał taki prędko murszeje, a często zdarza się, że pęka albo zupełnie rozpada się. W handlu znajdują się jedwabie, które są obciążone 300—400% soli metalowych ponad „al pari" t. zn., że jedwab taki składa się 19—15% prawdziwego włókna jedwabnego i z 81 — 85% środka obciążającego, t. j. soli metalowych. Taki fabrykat nie powinien mieć pretensji do nazwy „jedwab".

JEDWAB DZIKI.

Jedwab z dzikich motyli „Anteraea mylitta", „Anteraea Pernyi" nazywa się „tussah". Kokony ich są cztery razy większe, niż kokony tkaczy szlachetnych, a nić ich jest 1400 m. długa. Składa się mniej więcej z tych samych składników, co jedwab szlachetny jakkolwiek jej fibroina różni się od fibroiny szlachetnego jedwabiu i także klej jego jest odmienny. Obciążenie tussy solami metalowemi jest mniejsze, a to tylko dlatego, tussah nie jest w stanie tyle soli metalowych wchłonąć, co jedwab szlachetny.

JEDWAB SZTUCZNY.

Jedwab sztuczny nie jest wcale jedwabiem sztucznie sporządzonym. Powstaje w

FRANCISZEK BIELAK.

Książka „bez patosu i demagogji".

W opinji zwykłego człowieka tak zwani „literaci" tem się różnią od przeciętnych czytelników, że gdy drudzy czytają Sienkiewicza np. „dla przyjemności", to pierwsi dla prowadzenia „badań naukowych". Taki stosunek wywołuje melancholijną refleksję: „więc „badacze" pozbawiają się tych wszystkich miłych przeżyć", jakie każdemu daje piękny wiersz, czy interesująca powieść i zabierają się do analizy utworów podobnie jak botanik do rozpatrywania budowy kwiatu, róży, czy lilji?"

W rzeczywistości tak smutną dola literatów czy historyków literatury nie jest. Botanik może być obojętny na piękno badanych roślin, ale literat absolutnie musi być na wartości utworów poetyckich nietylko wrażliwy, jak każdy czytelnik, ale owszem dużo wrażliwszy — ponadto zaś musi posiadać wielostronne wiadomości fachowe.

Ponieważ jednak literatura czerpie materjał z całego bogactwa życia, ponieważ jest zawsze zarówno u Norwida, jak u Marczyńskiego wyrazicielką pewnego na świat poglądu czy pewnych przekonań, historyk literatury, czy krytyk współczesny wchodzi na różne tereny nieliterackie, mówi o sprawach narodu, społeczeństwa, dyskutuje stanowisko filozoficzne pisarza, oceniając je, potępia lub chwali i t. p.

W tem jednak „literaci" grzeszyli mocno przeciw „literackości" swego zawodu i wdawali się w sprawy nie do nich należące; obecnie prof. Kridl stara się te grzechy uświadomić i przeciw pokusom do nich zabezpieczyć, zwłaszcza zaś młodych adeptów wiedzy literackiej.

Jego nowa książka (Manfred Kridl: Wstęp do badań nad dziełem literackiem — Wilno, 1936, str. 213), chociaż nosi tytuł wstępu, zbyt zabarwiona jest polemiką, skoro przeciwnikom zarzuca nietylko patos i rozdzieranie szat, ale nawet demagogję. Taki nastrój książce, która ma być introdukcją, niewątpliwie szkodzi; wysunięcie momentów pozytywnych, które książka ma, powinno być silniejsze i napewno byłoby pożyteczniejsze.

Za takie „wstępne", zasadnicze wyjaśnienia, niedostatecznie tu opracowane, uważałbym wyraźne określenie, co to jest literatura, co to są wartości literackie, jakie cechy musi posiadać język literacki, co określić mianem konstrukcji, kompozycji, motywu, wątku literackiego itp. Tymczasem polemizując (przynajmniej w jednej trzeciej książki!) nie wykłada prof. Kridl dość jasno, jakiemi to pojęciami zasadniczemi operuje wiedza o literaturze i przy pomocy jakich metod dzieło literackie opracowywać należy.

Słusznie stwierdził autor ogromną a nie zawsze dobrą przewagę dawnej filologji klasycznej i historji w metodach naszych historyków literatury. Rzeczywiście wielu polonistów, kończących uniwersytet, zwłaszcza przy systemie magisterskim, jakoś przepomina o tem, że dzieła literackie nie muszą być uszeregowane w porządku chronologicznym, jak również o tem, że najpierw powstaje dzieło, a potem dopiero cała grupa utworów jakiegoś pisarza czy epoki. Niewątpliwie za wiedzę literacką uważa się zbyt wyłącznie wiedzę historyczno - literacką, a zapomina się o umiejętności oglądania, rozpatrywania i badania utworu sztuki poetyckiej.

Dlatego też zrozumiała jest reakcja tak zwana formalistyczna, której wyrazicielem w pewnej mierze jest prof. Kridl. Jednakowoż właśnie problemy związane z rozpatrywaniem samego dzieła, jego całościowej postaci zasługiwały na bardziej szczegółowe przedstawienie, niż to się stało w rozdziałach o dziele literackim i o zasadach integralnej metody literackiej. Można było posłużyć się analogją z utworami sztuki plastycznej, gdyż tam najpierw dużo mniej zaznacza się skłonność do rozpatrywania historycznego, a ponadto jaśniej występują elementy składowe dzieła sztuki.

Jeśli te sprawy nie znalazły dostatecznego wyjaśnienia, to skutkiem zbyt silnego zaprzątnięcia uwagi autora dwoma „niebezpieczeństwami", grożącemi poważnej pracy badawczej, t. j. biografizmem i „ideologją".

Biografizmem nazywa prof. Kridl skłonność do wyjaśniania dzieł przeżyciami ich twórców, ba nawet do identyfikowania psychiki bohatera z psychiką autora. Starając się o zupełną pewność poznania naukowego, widzi prof. Kridl w rekonstrukcjach psychologicznych drogę do wielkich dowolności. Niewątpliwie, że tak bywa, ale gdybyśmy postanowili bezwzględnie stronić od takich rekonstrukcyj, bardzo wielka część naszych, zupełnie zresztą prawdopodobnych, przypuszczeń zostałaby zdyskwalifikowana, a my musielibyśmy ogłosić nietylko niemożność dojścia do prawdziwego stanu faktów, ale niechęć do jakiejkolwiek próby stawiania hipotez. Trudności nauk humanistycznych w takiem „psychologowaniu" są wielkie, jednakowoż bez niego trudno sobie wyobrazić opracowywanie rzeczywistości, wytworzonej przez człowieka.

Może jeszcze więcej, niż biografizm, niemiłą jest prof. Kridlowi sprawa „ideologji" utworów. I tu znowu „uściślić" tego bezwzględnie nie można. Zasadniczo utwór ma tyle fizjognomij, ilu ludzi go przeczytało — *o bezwzględnej* jednowartościowości trudno mówić — ale jednak zawsze dzieło wyraża pewien dość jasno zarysowany stosunek do rzeczywistości, czy jej osąd. Nie jest on jednak nigdy tak banalny, jak te skróty „idei", które podaje prof. Kridl. Oto jak ujmuje on np. „ideę" Boskiej Komedji (Dusza człowieka wierzącego, a pogrążonego w grzechu

ten sposób, że z celulozy (bawełny) sporządza się sztucznie gęstą masę, którą przeciska się przez odpowiednie aparaty i z nich wychodzą nitki o połysku szkła, bezbarwne i giętkie. Jedwab sztuczny może być namiastką jedwabiu naturalnego, ale nie może pod żadnym względem z nim konkurować.

Wynalazcą sztucznego jedwabiu był Francuz hrabia de Chardonnet, w r. 1885. Sporządził go następująco: oczyszczoną bawełnę zamienił na nitro-celulozę (bawełna strzelnicza) zapomocą kwasu azotowego i kwasu siarkowego. Nitro-celulozę rozpuścił w mieszaninie z alkoholu i eteru na 20%-wy roczyn (kolodium), który zapomocą pras wtłaczał do odpowiednich aparatów z nadwyczaj drobnymi otworkami kapilarnymi, skąd wychodziły długie cienkie niteczki, które we wodzie tężały. Dalsze operacje, t. j. neutralizowanie nitek, nawijanie, suszenie i t. d. prowadziły do otrzymania przędzy zwanej „jedwabiem Chardonneta“. Inny gatunek stucznego jedwabiu wynaleziony przez Puly'ego otrzymuje się przez rozpuszczenie celulozy w roczynie z tlenku miedzi i amonjaku. Dalsze operacje podobne są do procesu Chardonneta.

Trzecią odmianą sztucznego jedwabiu jest „Viscose“, który się otrzymuje z rozpuszczenia bawełny, namoczonej w ługu sodowym, w płynnym siarczku węgla. Jedwab „Viscose“ jest zatem estrem ksantogenowym celulozy.

Czwartą odmianą sztucznego jedwabiu jest t. zw. „acetat“ (octan), czyli jest estrem octowym celulozy.

Wszystkie te jedwabie sztuczne posiadają zimny połysk szkła; wytrzymałość ich jednak jest o połowę mniejsza od naturalnego jedwabiu, a ciężar gatunkowy o wiele większy. Ponieważ sztuczne jedwabie otrzymuje się przez wtłaczanie miękkiej masy z celulozy przez otworki kapilarne, a tężeją dopiero po wystąpieniu z nich, przeto nie są one prawdziwą przędzą, tylko stężałą nitką, bez żadnej struktury, która znowu w gorącej wodzie mięknie, jak np. w kąpieli farbiarskiej. To też jedwab Chardonneta mięknie już w wodzie ogrzanej do 35° C., a inne gatunki w wodzie ogrzanej do 60° C. Własność ta dowodzi, że t. zw. sztuczny jedwab nie jest żadnym jedwabiem, ale pochodnym produktem bawełny, czyli celulozy.

O wiele trwalsze i o szlachetniejszym połysku są tkaniny sporządzone z merceryzowanej bawełny, o której innym razem.



przechodzi przez piekło, czyściec i dąży do nieba), — „Fausta” (życie dla własnej przyjemności nie wystarcza, trzeba mieć wyższe ideały i służyć ludzkości). „Ludzi bezdomnych” (wszystkim ludziom na świecie powinno się dobrze powodzić) itp. Toż to są banały i nie wiem, ktoby na tym poziomie próbował określać ideę arcydzieł! — Takie uproszczenia „ideologiczne” — mówiąc nawiasem — wyglądają na demagogję w stosunku do przeciwników.

„Ideologję” tak czy inaczej przedstawioną w „fikcyjnem” życiu literackiem znajdziemy prawie w każdym utworze — oczywiście działać ona będzie właśnie przez to. że nie jest banałem, a żyje arcydziełem, w którym krąży jak krew. Pewne jednolite ujęcie życia będzie zawsze tkwiło w arcydziele i nie musimy go wgniatać w formę prymitywów myślowych, bo właśnie życie dzieła sztuki to nie preparat anatomiczny. Otóż z tem „badacz literatury” musi się liczyć.

Ochotę do polemiki budzi książka prof. Kridla. Wynika to stąd, że ten już drugi polski „wstęp” do nauki literatury popełnił znów błąd zasadniczy, t. zn. nie patrzył pod nogi i przed siebie, wobec czego trudno w nim uznać przewodnika. Wielka szkoda, bo i studenci uczący się i poloniści już uczący drugich potrzebują dziś nowej propedeutyki do nauki (i nauczania!) literatury.

KUPON Nr. 19.

ważny do dnia 1-go IX b. r.

Rozrywki umysłowe Nr. 19.

Pod kier. inż. H. Braumanowej, czł. Kl. Szar.

Trzeci Konkurs Zadaniowy.

(Dalszy ciąg)

Zadanie 17 — Zadanie konikowe

Wanda Hoserowa — czł. Kl. Szar.

lu	bie	po	wszyst	o	nie	lić	chać
i	nad	dzi	ty	zwo	ko	na	jest
ko	kich	go	goś	ko	dość	ko	po
bie	jed	ca	wszyst	chać	mu	nad	ko
ły.	Dla	sie	ne	świat	chać	ko	si

Zadanie 18 — Abecadło — Szarady (d. c.)

Dziadek z Bakszty, czł. Kl. Szar.

13.

Od o — **trzeciego** nie żądaj o — **drugiej**:
on jej wyśpiewać nie zdoła.
Nie chciej, by **pierwsza - czwarta** tronem [była:
jej rola bowiem jest odmienna zgoła.
Nie żądaj, aby w twej wędrówce długiej
fortuna **trzy - raz** pod stopy ci róże
i by w twem oku łza bólu nie lśniła:
nie każdy może spijać wina kruże.
Jeden **czwór - drugie**, drugi ma zalety, -
temu sądzono być bożyszczem tłumu,
owemu srogi los nie dał rozumu...
Porządku świata nie zmienisz, niestety!

14.

Nie jest tak wielki, którego **raz - czwarta**
gęsta i pewna, jak u **Dwa - czwartego**;
nie, **pierwsi - trzeci**: czasem nic nie warta,
trzecia i druga postać słynie z tego,
że jest mocarna duchem, silna wiarą,
która wartości jest jedyną miarą.

Zad. 19 — Szarada - Odwet na produkcję „**Opala**“

„**Kasta**“, czł. Kl. Szar.

Dwa - szósty P. T. „Opal“,
zadania swoje popal,
bo każdy sam je **dwa - trzy**,
zaledwie popatrzy.

Dowcip, jak **raz - trzy piąta**,
jest strawny w małej porcji,
a Pana **pięć - czwór - piąta**
łyżka korci?

W gęstwinie leśnej człowiek
pławi się w **raz - czwór - szóstym**
i po rzetelnych — powie:
Pański „orzech“ — pusty.

I doda jeszcze Panu
za pomysł doskonały:
szaradę bez sprawdzianów
nazywam odtąd: „Całe“

Zad. 20. — Bilety z tajemniczemi adresami.

Ul. Wojciech Ciepiela, Kraków.

Wiktor Kresowy Sołtotów p. Warszawa	Karol Arabski Burków p. Nowy Targ	W.P. Piotr Boskolowy w Głońsku

Na tem kończymy nasz **III Konkurs Zadaniowy**, składający się z 20 zadań różnego typu. Które z tych zadań uważają PP. Czytelnicy za najlepsze, na to zadanie prosimy oddać swój głos. Rozwiązania wszystkich zadań razem należy nadsyłać do dnia 1-go września b. roku pod adresem Redakcji do Działu R. U.

Ważna data stempla pocztowego. Stali prenumeratorzy „Głosu Narodu“ oraz stali odbiorcy niedzielnych dodatków, którzy się zapisali u kierowniczki Działu R. U. na odbiór tych dodatków, zwolnieni są od załączania kuponów. Pozostali Czytelnicy, chcący brać udział w losowaniu, obowiązani są nadsyłać kupony ze wszystkich numerów.

Sprostowanie: W zadaniu Nr 7 z dodatku Nr 17 należy w szaradzie „Już czas“ w szóstym wierszu od końca poprawić słowo „zbity“ na „zbiły“.

Jednocześnie zawiadamiamy, że w dniu dzisiejszym, dodatkowo, poza konkursem, rozpoczynamy cykl szarad „**Wróżebna mowa kamieni**“, pióra jednego z naszych „Asów szaradowych“. Ponieważ osoba wróżbity jest otoczona zawsze tajemniczością, więc i my nie ujawniamy naszym Czytelnikom autora, a pozostawimy domyślności Ich, aby z treści, formy i artyzmu odgadli sami, kto się bawi w „wieszcza“. Między trafnie odgadującemi i autora i treść szarad będzie rozlosowana nagroda książkowa.

Jednocześnie dodajemy, że na każdy miesiąc „wiedza tajemna“, czy też zabobon przydziela pewien pół lub szlachetny kamień, który ma być jego symbolem i ma darzyć powodzeniem noszącego go, urodzonego w tym właśnie miesiącu.

CYKL „WRÓŻEBNA MOWA KAMIENI“

Wróżba na Sierpień.

Uczynny **jedenasty - dwunasty** Wasz, Panie,
a przeklęta **dziesiąta - dziewięć - pierwsza** [Działu *),
pięć-tuzin-dziesiątego zwalnia pęd zuchwały,
kiełzna **czwarte-czternaste**... Na Wasze uznanie
chce w sposób **drugi-trzeci** nareszcie zasłużyć
żeby — jasne słoneczko wyjrzało po burzy.
Więc **wspak osiem - sześć-siódmy** zaprawiam [słodyczą:
wdziękiem, rytmu, jak **ósme-trzecie** małych [musme
w **czternastych-drugich** cieniu przed Buddy [obliczem.
Twarz jego z **dziewiątej-trzynastej-mendel-** [**trzeciej**
półuśmiechem bezmyślnym podświadomie [świeci.

Ósma szarada, niby **trzynasta-pięć-szósta**
nienudno i **banalnie** zinstrumentowana:
siedem-piętnastego-dziewiątego miana
nie zyska i Wasze zadowoli(?) gusta.
A jeśli Sierpnia KAMIEŃ nie natchnie [słodyczą,
niech mnie... u **jedenastego-czternastego** [ćwiczą.

Prosząc PP. Czytelników o wyrażenie swego zdania co do wprowadzonej inowacji, dajemy termin do rozwiązania powyższego zadania do dnia 9-go września b. r. i życzymy powodzenia w odnalezieniu ukrytego maga.

*) Kierowniczka stanowczo protestuje przeciw temu.

ROZMAITOŚCI.

Wielkie przedsiębiorstwa gospodarcze

prowadzono już przed 5000 lat.

Utarło się naogół przekonanie, bronione nawet przez wybitnych uczonych ekonomistów, że ludy starożytne nie umiały prowadzić i nie prowadziły wielkich przedsiębiorstw przemysłowych oraz handlowych. Pierwsi mieli dopiero zajmować się tem Rzymianie. Biorąc za podstawę, że pod wielkiem przedsiębiorstwem względnie większem, rozumiemy interes, gdzie, poza właścicielem, zatrudniony jest jeszcze szereg **takie przedsiębiorstwa już istniały w biblijnej Chaldei.** Tam byli kupcami już nietylko prywatni ludzie, ale nawet panujący. Już stary król Manisztuso (około roku 2572 — 2558 przed Narodzeniem Chrystusa panujący) na wielkich obeliskach w Diorit spisał swoje duże wydatki w związku z zakupem posiadłości ziemskich. Również krol Gudea (2500 lat przed Narodzeniem Chrystusa) utrzymywał, jak sam powiada, stosunki handlowe z całym światem. Mimo, że **ze sprowadzonych towarów większość szła na użytek króla,** pewną część odsprzedawał swoim poddanym. Jak ten handel się odbywał, można zrekonstruować na podstawie umów handlowych późniejszych czasów. — Z tych wynika, że pałac królewski, cały szereg przedsiębiorstw państwowych, szeroko rozbudowanych, prawie całkowicie zmonopolizował. Mimo złych czasów, w których znalazła się Babilonja około r. 1750 przed Nar. Chrystusa, królowie nadal pozostawali wielkimi właścicielami dóbr ziemskich, a swoich wiernych urzędników wynagradzali dobrami, na których prowadzono handel na wielką skalę. W wieku V i IV przed Nar. Chrystusa prowadzono bardzo dobre interesy z władcami Egiptu. Król Burna Burian otrzymał od Amenofisa IV — 1200 min złota (1200 funtów). Świadczy to o rozległości robionych interesów. W tych czasach handel prowadzili również książęta, synowie królów, lecz już nie sami, tylko za pośrednictwem swoich „majordomusów“. Handel prowadziły również świątynie. W latach 3.000 przed Nar. Chr. świątynie w Lagasz posiadały olbrzymie latyfundja, na których prowadzono szereg interesów. Profesor berlińskiego uniwersytetu, Dr. Bruno Meisner, opisuje, jak wyglądała administracja świątyni E — Anna w Urni w okresie rządów Nebuhadnezara do Dorjana V. Za czasów króla Nabonida dobra świątyni liczące 31.090 mórg ziemi w pobliżu miasta Larsa, z 400 chłopami, 400 wołami, 100 krowami, narzędziami rolniczemi itp. zostały wydzierżawione dwom dzierżawcom. — **Czynsz roczny wynosił 25.000 kur,** co odpowiada 1.825.000 litrom zboża i 730.000 litrom daktyli. Jak dobrze umieli podejść ci króla, świadczy o tem fakt, że w chwili oddania dierżawy w rece dzierżawców, król opuścił im z czynszu 3.000 kur zboża na zasiew i 10 talentów żelaza na plugi. Tak bogacili się nieliczni wybrańcy losu. Powstały duże domy bankowe w tym okresie czasu, które prowadziły rozległe interesy na wielu polach. Po zdobyciu Babilonji przez Persów, urzednicy perscy odziedziczyli te bogactwa. Wydzierżawiali oni je za wysokie szynsze, tak że pierwszy dzierżawca musiał bardzo często poddzierżawiać swoją dzierżawę, aby wyciągnąć zarobki i dla siebie. Nie ulega wątpliwości więc, że w Babilonji w tych czasach kwitło gospodarstwo na wielką skalę.

Co pisze dziennik włoski,

wychodzący w Addis Abebie.

Z najnowszego numeru „Giornale di Addis Abeba“, warto przytoczyć kilka wyjątków, aby zapoznać czytelników, o czem pisze obecna prasa w stolicy pokonanych Abisyńczyków. Artykuł wstepny pod tyt. „Nowe życie“, napisany przez Amleto Afework'a, omawia **warunki, jakie umożliwiają duży rozwój stolicy.** Dopiero po wkroczeniu Włochów, którzy przynoszą poza cywilizacją w ogólnem znaczeniu tego słowa, również sztukę i naukę, stolica godną będzie tytułu, udzielonego jej swego czasu przez cesarzową Taita „Nowy kwiat“. Już po 10 dniach po wkroczeniu Włochów, światło elektryczne stało się codziennem dobrodziejstwem dla wszystkich mieszkańców, a nie jak poprzednio — tylko z okazji dworskich uroczystości. **Znoszenie walących się budynków, a wznoszenie nowych pięknych** stwarza u Abisyńczyków mniemanie, że Addis Abeba stanie się stolicą całej Afryki. — Z dalszych notatek dowiadujemy się, że wskutek zarządzenia generalnego gubernatora, zakład fotograficzny „Photo-Studio-Ghabar“ został zamknięty na 5 dni, ponieważ **pobierał paskarską cenę za powiększenie zdjęć.** Dalsze wiadomości podają projekt **usunięcia z pl. publicz. pomnika Menelika i zastąpienie go pomnikiem włoskiej wilczycy.** Jeden z artykułów narzeka na „psią plagę“ w stolicy, podkreślając, że faktycznie rozchodzi się w tym wypadku o prawdziwe psy. Psy te uniemożliwiają tak dalece komunikację, w nocy zaś szczekaniem i żarciem się nie dają usnąć, że z pewnością ktoby się zapoznał z tą plagą, nie broniłby tych stołecznych psów. W języku amharyjskim są wydrukowane prawie cztery szpalty. Artykuł wstępny dla tej części napisał b. poseł abisyński w Rzymie, Gabre Jesno Afework.

Ile dużych statków

obsługuje północny Atlantyk.

Po rozpoczęciu służby pasażerskiej na północnym Atlantyku przez najnowszy transatlantyk „Queen Mary“ obsługują obecnie komunikację pasażerską na północnym Atlantyku — **33 duże statki o pojemności 965.862 ton.** Te statki są w stanie przewieźć 47.100 pasażerów we wszystkich swoich klasach. Pod banderą angielską pływa **14** statków o 396.603 tonnach, niemiecką — 7 statków — 219.598 ton, francuską — 5 — 214.170 ton, U. S. A. — 4 — 76.316 ton, holenderską — 3 — 59.175 ton. O powodzeniu poszczególnych statków decyduje jego szybkość. **Do tej pory pierwsze miejsce zajmuje Francja** z 22.1 mil mor., licząc przeciętnie, **następnie Niemcy** 21.6, Ameryka z 19.2, Anglja 18.6 i Holandja 16.3 mil. morskich. Według poczynionych obliczeń, **statki te w ciągu roku mogłyby przewieźć 940 tysięcy osób.** Tymczasem w roku 1936 przewiozły tylko 458.327. Jasnem więc się staje, że w roku 1935 nie wykorzystano nawet połowy będących do dyspozycji miejsc pasażerskich.

ŻYCIE RELIGIJNE.

Przegląd spraw religijnych.

Wyznania protestanckie, schizmatycy wschodni i anglikanie przygotowują się do wielkiej konferencji „unijnej", która w roku 1937 ma ponownie podjąć zagadnienie „zjednoczenia", lub — jak mówią umiarkowani — przynajmniej „zbliżenia" tych poszczególnych wyznań do siebie. Będzie to więc jeszcze jedna próba z rzędu tych, które podejmował zmarły przed paroma laty „arcybiskup" protestancki Sztokholmu, Söderblom. Na razie rozpoczęły się wstępne prace. Od 1-go sierpnia radzi w Genewie komitet, złożony z przedstawicieli wymienionych kierunków religijnych. I na nim spoczywa obowiązek przygotowania umysłów i dostarczenia elementów dla idei „zbliżenia".

RÓŻNICA W ZAPALE.

Najwięcej energji w tą pracę wkładają protestanci, zwłaszcza skandynawscy. Tłómaczy się to łatwo. Protestantyzm dzisiejszy, rozłożony wewnętrznie na skutek bezwzględnego zastosowania zasady Lutra o swobodzie w wierze, nie przywiązuje wagi do dogmatu i lekceważy różnice dogmatyczne między poszczególnemi wyznaniami.

Wielkie zainteresowanie pracami „unjonistów" ujawniają kościoły schizmatyckie. Pochodzi to stąd, że żyje wśród nich idea jednolitej „Cerkwi Wschodu", kierowanej przez naczelnika w postaci patrjarchy carogrodzkiego. Idea jednak dziś nierealna i niemożliwa do realizacji w całej pełni, a to na skutek wydarzeń, które w XIX. i XX. w. zaszły na wschodzie Europy.

Najmniej ochoty i zapału do pracy w tym kierunku objawia kościół anglikański. Wpływają na to dwa względy: polityczny i religijny... Polityczny, bo anglikanizm musi się z racji swej struktury liczyć z egoistycznym interesem Anglji i ze zdaniem jej rządu, a temu lepiej odpowiada „kościół angielski", niż — jakiś nadnarodowy, zjednoczony z paru wyznań... Wzgląd religijny, bo w znacznej części kościoła anglikańskiego przechowały się stare. katolickie wierzenia i symbole, gdy prąd „zjednoczeniowy" zmierza do złączenia go z wyznaniami, których nieraz poza samą nazwą nic już właściwie z chrześcijaństwem nie łączy.

„PRYWATNA REFORMACJA".

„Church of England" — „Kościół Anglji". Taka jest oficjalna nazwa wyznania panującego w Anglji, które my nazywamy „anglikańskiem".

Protestancki teolog niemiecki, Dibelius, powiedział dobrze, że „Reformacja", która ten kościół powołała do życia, była „Reformacją prywatną" (rzekomo w odróżnieniu od Reformacji niemieckiej, luter[illegible]. która jego zdaniem pochodziła z „publicznych", „ogólnych", źródeł). W istocie! Ta „reformacja" wyniknęła z czysto prywatnych powodów.

Z czysto prywatnych, osobistych, powodów (małżeństwo z Anną Boleyn) oderwał Henryk VIII w r. 1534 katolicką Anglję od Stolicy Apostolskiej, od Rzymu. Wola jednego — zresztą bardzo mocnego — człowieka, dokonała czynu, który związywał sumienia miljonów.

To, co zrobił Henryk VIII, było tylko schizmą, — oderwaniem narodu od Rzymu, ale i pozostawieniem mu całej jego dotychczasowej wiary, przynajmniej teoretycznie. Rzeczą było jego następców (szczególnie Elżbiety) do schizmy dołączyć herezję i dokonać ostatecznej organizacji nowego w Europie wyznania.

DWA CELE.

Było marzeniem i wytrwałem dążeniem Henryka VIII i Elżbiety, by „Kościół Anglji" był równocześnie jedynym kościołem dla poddanych i instytucją państwową. Nie udało się im pierwsze zadanie. Napróżno srożyli się królowie angielscy 16 i 17-go wieku w stosunku do katolików, kalwinów i innych; nie potrafili zrobić jedynego „Kościoła Anglji" z anglikanizmu. Natomiast prawie w zupełności osiągnęli cel drugi: — anglikanizm w gruncie rzeczy jest instytucją państwową. Zapewne nie w tym stopniu, co n. p. służba bezpieczeństwa lub administracja polityczna, ale przecież cała jego struktura jest taka, że go czyni — mniej lub więcej od rządu zależnem — narzędziem państwa. A tylko od charakteru i temperamentu władcy zależy, czy ta cecha anglikańskiego kościoła zaznacza się mocniej, czy słabiej. Jerzy V — wiemy — nie miał w tej dziedzinie ambicji, a i temperamentu, które objawiał Henryk VIII.

SKRĘPOWANIE.

Ustrój anglikańskiego kościoła przypomina w dużej mierze ustrój wschodnich, cezaropapistycznych, kościołów... Panujący jest bez kwestji — przynajmniej teoretycznie — „summus episcopus"; on mianuje „biskupów" i wyższy kler, zasadniczo „według swej woli", — faktycznie zaś oczywiście według woli swego rządu.

Prawa kościelne są prawami państwowemi. To mu zapewnia sprawną i dokładną egzekutywę. ale równocześnie całe wyznanie, jego życie i nawet jego ściśle religijne sprawy poddaje pod wpływ i decyzję politycznych, partyjnych, a nawet innowierczych czynników państwowych. Prawa te bowiem nie mogą być zmienione bez woli parlamentu, którego członkowie muszą orzekać nieraz w sprawach ściśle religijnego życia wiernych. Pamiętamy, jak przed paroma laty parlament angielski debatował nad „Prayer Book", a więc księgą, która jest zbiorem i liturgicznych i dogmatycznych postanowień. Obradował niechętnie, a wielu z posłów, którzy przemawiali, nie taiło swej niechęci z powodu, że w „takich" sprawach każe im się wydawać sądy i wyroki.

NASTĘPSTWA.

Objektywnie sądząc, jest to profanacja idei Kościoła Chrystusowego... Angielski historyk Lilly w tem upatruje największą „rewolucję", która [illegible] owodowało chrześcijaństwo, że dzied[illegible] religijnego życia wyrwało z pod w[illegible]twa świeckiego. W ten bowiem sposó[illegible] dało początek wyzwoleniu człowieka z niewoli w dziedzinie, w której nie może być przymusu.

Nie dziw też, że świadomość tej prawdy przenika coraz głębiej w masy angielskiego narodu.

Hilary Belloc pisał niedawno o spoganieniu współczesnej Anglji. Nie już indyferentyzm wyznaniowy, ale zupełna niewiara ma być jej cechą. Znakomity pisarz angielski łączy to zjawisko z upaństwowieniem kościoła... Sąd bardzo twardy, ale, kto wie, czy nie słuszny? Za błędy państwa musi odpowiadać upaństwowiony kościół. To musi działać odpychająco na masy. I to je musi z kościoła wyobcowywać!

Pejot.

Państwo etatystyczne na bezdrożach.

Mówi się obecnie b. wiele o konieczności walki z przerostem etatyzmu. Guglielmo Ferrero w swej pracy „Przemowy do głuchych" pisze o rozkładowym wpływie nadmiernego etatyzmu na rozwój duchowy społeczeństw.

Zdajemy sobie jednak sprawę, że rola państwa jest ogromna. To też wypowiadając się przeciwko przyrostowi etatyzmu, bynajmniej nie mamy zamiaru ograniczać działalności państwa w takich dziedzinach, jak obrona państwa w czasie wojny, bezpieczeństwo publiczne itp. Pragniemy tylko podkreślić, że co innego sumienne spełnianie obowiązków wobec państwa a co innego niezdrowy przerost państwowości, uzurpujący sobie wszechwładzę nad człowiekiem.

Jest to bardzo znamienne, że nowoczesny totalizm państwowy czerpie swe źródło z ideologji masonerji. Boos, mason, w swej pracy źródłowej: „Die Geschichte der Freimaurerei" str. 204 stawia zasadnicze pytanie: „Jakiem że ma być państwo według ideału masonerji?" I odpowiada: **„Bezreligijnem, demokratycznem i wszechwładnem!** Mianowicie, państwo takie nie uznaje żadnej religji jako panującej; co więcej, usuwa cechę religijną ze wszystkich instytucji politycznych i, o ile może, także ze społecznych, a szczególnie z prawodawstwa, polityki, wychowania publ. i małżeństwa; jeżeli zaś tego w całej pełni dokazać nie może, przynajmniej ogłasza równouprawnienie wszystkich wyznań, tworzy szkoły bezwyznaniowe i zaprowadza małżeństwa cywilne. Nadto takie państwo rości sobie prawo do wszechwładztwa i nie uznaje żadnej władzy nad sobą i obok siebie".

Taką definicję ideału państwa według ideologji masońskiej podaje mason Boos. Widzimy więc, że w tym programie masonerji znajduje się nic innego, jak szerząca się dziś doktryna t. zw. „państwa totalnego", które usiłuje pochłonąć wszelkie prawa społeczeństwa, rodzin, jednostek.

Państwo etatystyczne staje się już czemś w rodzaju nadnaturalnej istoty, której winno się składać ofiarę z życia. Sumienie ludzkie zostało zatrute sugestją, że państwo ma być najwyższym i jedynym miernikiem etycznym i prawnym.

Katolicy jednak na takie stanowisko zgodzić się nie mogą: katolicy uznają autorytet państwa, ale nie jako organizacji będącej celem w sobie, lecz środkiem do celu najważniejszego, jakim jest dobro duchowe i doczesne człowieka. I w tym duchu wypowiedział się niedawno — jak donosi „News Service" — jeden z biskupów amerykańskich, mgr. Ryan, oświadczając:

„Choć władza państwowa jest oddzielona od kościelnej i ma swój odrębny zakres działania, jednak nie może moralnie rozwijać się bez Kościoła. Gdy państwo chce oprzeć się tylko na sobie, nie sięgając do źródła duchowej mocy, t. j. religji, wtedy deprawuje się, upada: mnożą się wtedy przepisy prawne, ale nie są wypełniane. Wtedy policji pełno, szpiegów pełno, a przestępstw coraz więcej i powszechna nieufność".

Z obcej niwy.

„Konflikt cywilizacyj".

Z końcem lipca b. roku odbył się w Wersalu XXVIII „Tydzień Społeczny" katolickiej Francji. Był poświęcony tak skomplikowanemu i tak trudnemu problemowi, jak: „konflikt cywilizacyj". — t. j. walka różnych typów życia zbiorowego między sobą. Czy się udał, czy wniósł nowe wartości w studjum tego problemu, dowiemy się dopiero z książkowego wydania wykładów wygłoszonych podczas tego „Tygodnia". Sprawozdania bowiem prasy codziennej, które teraz mamy w ręce, nie są w stanie oddać należycie treści i nowych myśli „Tygodnia". Dają zaledwie wskazówki co do kierunków, któremi „Tydzień" szedł. Jest to dość dla ogólnej orjentacji, ale za mało dla wniknięcia w głąb poglądów, które zostały wypowiedziane.

„Tydzień Społeczny" w Wersalu zakończył się — stosownie do tradycji — odczytaniem „konkluzyj", a więc deklaracji, która ma wyrażać przewodnie myśli referatów i obrad. Uczynił to zasłużony i uczony prof. prawa na uniwersytecie katolickim w Lille, E. Duthoit, na końcowem zebraniu „Tygodnia". Konkluzje te noszą w paru ustępach wybitnie francuskie piętno; potrącają o trudności typowe dla Francji (konflikt cywilizacji łacińskiej z cywilizacjami ludności z kolonij, budzenie się świadomości rasowej wśród tubylczej ludności w kolonjach i t. p.) Nie mniej konkluzje są ciekawe, jako próba odpowiedzi na pytanie: co ma katolik sądzić o obecnym konflikcie cywilizacyj i co robić?

„Wydarzenia" — czytamy w deklaracji, odczytanej przez prof. Duthoit — które się rozgrywają w różnych punktach świata, w Afryce północnej, w Syrji, w Palestynie, w Hindostanie, w Chinach, w Stanach Zjednoczonych — dają nam obraz konfliktu pewnych grup etnicznych z drugiemi. Walki te dotyczą nie tej lub innej odrębności z ustroju rodzinnego, rolnego, politycznego, właściwego poszczególnym grupom etnicznym; toczą się o samą ich egzystencję, o ich rodzaj życia, o ich pokojowe stosunki z resztą ludzkości, — a tam, gdzie istnieje stan kolonizacji, protektoratu lub mandatu, toczą się o stosunek między mocarstwem, a społeczeństwem tubylczem.

Obok tych konfliktów w przestrzeni wybuchają także konflikty w czasie, — zderzenia dwóch cywilizacyj, — tej, która jest, i tej, która chce być i panować w określonem środowisku. Komunizm rozpoczął tego rodzaju konflikt w świecie. Rosja jest terenem eksperymentu. W razie udania się tej próby, ruch (komunistyczny) spróbuje zdobyć dla siebie powoli całą ziemię, całą ludzkość.

Różne cywilizacje świata, jakkolwiek ogromnemi oddzielone od siebie różnicami w szczególnych swoich właściwościach, jednak zmierzają do upodobnienia się nawzajem w dziedzinie materjalnej, technicznej i nawet prawnej. Przeciwnie zaś, dusza ludzkości jest rozdarta przez sprzeczne dążności, eksluzywne interesy, dzikie nacjonalizmy, ideologje bezwzględne.

Gdzie znaleźć rozwiązanie? Czy go można szukać w nowych ideologjach, które obecnie chcą kierować orjentacją polityczną, ekonomiczną i kulturalną narodów? Czy można go szukać u Mamona? W suwerenności techniki? W kulcie narodu, państwa, rasy lub krwi? Nie! Bożyszcza te bowiem, niezdolne do złagodzenia konfliktu, raczej go wywołują i rozniecają.

...Katolicyzm ujednostajnia wszystkie rodzaje życia, wszystkie odrębności materjalne, techniczne, kulturalne cywilizacji. Katolicyzm na przestrzeni dziejów mieszał się w różne cywilizacje, nie stapiając się jednak z żadną z nich, i nie niszcząc obyczajów, które nie naruszają prawa natury. Shumanizował wszystkie cywilizacje, których się dotknął. I ciągle pracuje nad pacyfikacją stosunków cywilizacyjnych, — pracuje na rzecz jednego prawa, miłości, tej autentycznej i powszechnej cechy, po której się wszędzie poznaje uczniów Chrystusa.

...Każdy katolik godzien tego imienia, winien być — bez względu na miejsce i funkcję, którą w świecie spełnia — głosicielem, wykonawcą i wzorem prawa miłości. A nie będzie mógł tego osiągnąć inaczej, jak tylko pod warunkiem, że nie będzie rozróżniał dwóch „stron" w swojem życiu: jednej przeznaczonej do działalności religijnej, — drugiej do działalności doczesnej; i że ich nie będzie oddzielał od siebie, jakby były sobie obce.

Jeśli w przeszłości mogły być przez katolików, a więc przez władców lub narody, popełnione nadużycia na szkodę narodów nierozwiniętych cywilizacyjnie, to nigdy dlatego, że w danym wypadku ci władcy lub te narody występowali jako katolicy, ale — przeciwnie — dlatego, że oddzielając swoją polityczną działalność od wymagań swej wiary, pogwałcili zasady swojej religji i zasłużyli na słuszne skarcenie ze strony Kościoła nauczającego, doktorów i papieży".

Zakonnicy z Góry św. Bernarda w Tybecie.

Wiadomo, że Benedyktyni z Góry św. Bernarda w Szwajcarji budują schronisko w niedostępnych górach Tybetu. W „L'Annuaire Missionnaire de la Suisse" ukazał się art. jednego z zakonników pod nagłówkiem „Wielki Św. Bernard w Tybecie". W artykule tym autor przestrzega przed przesadnemi wiadomościami pewnych dzienników w sprawie schroniska budowanego przez czterech zakonników w Tybecie. Między innemi pisze: „Jedna rzecz odpowiada prawdzie, mianowicie, żeśmy wyjechali do Tybetu. Lecz nieprawdą jest, jakoby schronisko było już gotowe ani też to, żeśmy psy nasze z sobą zabrali. Rozpoczęliśmy prace budowlane, które muszą być możliwie szybko wykończone, inaczej zima nadchodząca wszystko zniweczy. Schronisko będzie mniejsze niż na Górze św. Bernarda, jednak tak obszerne, że pomieści wszystkich, którzy będą przechodzili przez przełęcz La-Tsa. Należy pamiętać o trudnościach, jakie nas czekają: **niema ani robotników wykwalifikowanych, ani narzędzi potrzebnych do obróbki kamieni, ani też dróg odpowiednich do przewozu budulca...** Że bandy rozbójnicze grasują w okolicy, to rzecz jasna. Jednak dotychczas nasi misjonarze nie byli przez nich niepokojeni. **Podczas swoich wycieczek spotykają często rozbójników,** którzy misjonarzom naszym nie tylko dają spokój, ale wskazują im nawet najlepsze ścieżki, któremi iść należy". — **Prace budowlane rozpoczęły się z wiosną b. r. mimo śniegu i mgieł.** Przez przełęcz La-Tsa przechodzi dziennie około 100 ludzi. Często umierają podróżujący w ciągu drogi ze zmęczenia i wyczerpania, a zakonnicy nasi spełniają dobry uczynek, użyczając im na noc przytułku w swojem schronisku.